



PRACA nad sobą

A PERIODYK MARIA WICKI
Zeszyt 68 Kraków, listopad 2012 r.

Chrystus w Eucharystii i w życiu

Nauka wygłoszona 2 września 2012 r. w czasie Mszy Świętej kończącej episkopalne (anglikańskie) rekolekcje pod hasłem „Usłysz, co Duch Boży mówi do Kościoła” w Kiekrzu koło Poznania. Czytania były: V Mojżeszowa 4:1-2,6-9 i Marek 7:1-8,14-15,21-23.

Co po nas pozostanie? Religie nie są wieczne, chociaż robią wszystko, co w ich mocy, aby się takimi wydawać. A jednak - jak wszystko na tym świecie - mają swój początek, swoje dzieje i nierzadko również swój koniec. Wówczas stają się co najwyżej wspomnieniem, albo materiałem badawczym.

Co po nas pozostanie? Gdyby to od nas zależało, co miałby wydobyć z zapomnienia jakiś badający nasze czasy archeolog - za kilkaset czy może kilka tysięcy lat? Tak postawione pytanie jest jednocześnie pytaniem o to, co stanowi istotę, esencję tego, w co wierzymy.

Jednym z celów, dla których spotkaliśmy się tutaj, jest poznanie tradycji anglikańskiej. Nie ma w tym zatem nic dziwnego, że jako prowadzący wczoraj i przedwczoraj wciąż na nowo konfrontowani byliśmy z pytaniem o „specyfikę” tej tradycji, o jej charakterystyczne cechy. W co wierzą anglikanie? Jak się zapatrują na taką czy inną kwestię? Jak się modlą? To wszystko składa się na jedno podstawowe pytanie: Czym właściwie jest anglikanizm? Krok za krokiem stawało się coraz jaśniejsze, że cechą szczególną anglikanizmu jest to, że... właściwie nigdy nie chciał mieć on żadnych szczególnych cech, że chciał być po prostu chrześcijaństwem - w jakimś sensie bezprzymiotnikowym, pozbawionym zbędnych dookreśleń. Gdy zaś jakieś przymiotniki się pojawiły, to takie, które wskazują na niemożliwość umieszczenia nas w jakiejś gotowej szufladzie, którą znamy z historii Kościoła. Mówiliśmy na przykład o tym, że Kościoły anglikańskie są (zarazem) katolickie i reformowane. Katolickie, bo podkreślają ciągłość chrześcijańskiej tradycji od jej zarania, i reformowane, bo są świadome potrzeby krytycznego obchodzenia się z nią, czego wyrazem była nie tylko reformacja XVI wieku, ale także wiele innych, późniejszych reform i przemian. Jeśli spełniliśmy swoje zadanie właściwie, w toku tych rozmów powinno się było okazać jeszcze coś innego - że zdaniem anglikanów na pytanie o to, czym jest chrześcijaństwo, często nie da się odpowiedzieć inaczej aniżeli następnym pytaniem, które potem zrodzi kolejne pytanie, i tak dalej i tak dalej...

Co ciekawe, w Ewangelii na dzisiejszą niedzielę Jezus ma do czynienia z podobnym pytaniem. Chrześcijanom starotestamentowe przepisy dotyczące rytualnej czystości jawią się niekiedy jako coś pobocznego, mało istotnego. Dla wyznawcy judaizmu mają one jednak zupełnie inne znaczenie; dotyczą wprost istoty jego religii, jej esencji. Tak więc w dzisiejszej Ewangelii Żyd Jezus zostaje skonfrontowany z - dość agresywnie (bo w formie zarzutu) sformułowanym - pytaniem swoich współwyznawców o to, co dla Niego stanowi istotę wiary, którą wspólnie wyznają.

Również w czasie naszych rozmów powracał temat Prawa

Bożego i jego roli. Mówiliśmy o tym, że miało ono i ma wychowywać ludzi, stopniowo przygotowując ich do osiągnięcia duchowej samodzielności. Kościoły często zapominają, że zasady, które głoszą, nigdy nie są celem samym w sobie, że mają przygotowwać do osiągnięcia takiego stopnia rozwoju świadomości, na którym właściwie nie będą już potrzebne jako zewnętrzne nakazy i zakazy, bo naprawdę zapadną nam w serca, staną się integralną częścią nas samych. Wychowanie religijne powinno być więc zawsze wychowaniem do wolności, do wewnętrznej swobody, do samodzielnego myślenia, odczuwania i rozstrzygania.

Mówiąc o różnych rolach, jakie spełnia Prawo, nie wspomnieliśmy dotąd o tej, która zarysowuje się w pewnym stopniu w dzisiejszej lekcji starotestamentowej: Prawo jako granica oddzielająca przestrzegających go od wszystkich innych. Znamy to z autopsji. Bardzo chętnie wytyczamy takie granice. Bardzo często traktujemy świat wokół nas jako coś zasadniczo odmiennego, „nieczystego”, groźnego. Bardzo często wyobrażamy sobie to tak, że tu jest Kościół - Lud Boży - natomiast za tymi drzwiami już go nie ma. Tam są, w najlepszym wypadku ci, których powinniśmy „nawrócić” - oczywiście na nasz sposób myślenia. Jezus mówi jednak coś innego. To nie z zewnątrz pochodzi niebezpieczeństwo. To nie z zewnątrz pochodzi to, co mogłoby nas „skalać”. To nie „inni” nam zagrażają, to nie ich powinniśmy się obawiać. Źródłem tego, co naprawdę niebezpieczne, jesteśmy my sami - nasze własne serca.

I teraz chciałbym postawić krok w kierunku, który być może niektórych z Was zdziwi. Zebraliśmy się dzisiejszego ranka, by wspólnie świętować Eucharystię. Za chwilę przejdziemy do drugiego pomieszczenia i staniemy wokół ołtarza. Bardzo pragniemy i dołożyliśmy wielu starań, by byli wśród nas kapłani, pod kierunkiem których moglibyśmy ją celebrować. Jesteśmy bardzo wdzięczni bratu Pawłowi i księdzu Tony'emu Litwinskiemu, że znaleźli na to czas i przyjechali do Poznania, bo posługa kapłańska jest dla nas ważna i to nie tylko w sensie funkcjonalnym. Kapłaństwo to nie tylko funkcja, która

umożliwia robienie czegoś zgodnie z kościelnymi przepisami, to przede wszystkim rodzaj soczewki, w której skupia się to, czym Kościół właściwie jest - to żywy symbol unaoczniający nam istotę powołania nas wszystkich. To dlatego anglikanizm, również w samym środku reformacyjnych burz, utrzymał ciągłość trójdzielnej posługi duchowej diakonów, prezbiterów i biskupów. Dla nas ich posługa nie jest jakimś drugorzędnym „dodatkiem” do Kościoła, lecz tkwi w jego istocie, nawet jeśli zawsze podlegała i będzie podlegać historycznym przemianom i kształtować się pod wpływem lokalnej specyfiki. Najlepiej widać to właśnie, gdy sprawujemy Eucharystię. Z drugiej strony jednak nasi kapłani staną za chwilę wokół ołtarza ramieniem z nami, po prostu jako jedni z nas. I to wskazuje na inny - nie mniej podstawowy - wymiar Eucharystii. Nie tylko oni dźwigają ją na swoich barkach. Nie tylko od nich, a nawet nie od nich przede wszystkim, zależy autentyczność tego, co za chwilę będziemy robić. Sakrament RZECZYWISTEJ OBECNOŚCI Chrystusa wśród nas jest zakorzeniony w Jego obietnicy („Będę z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata”), ale również w naszej reakcji na nią.

Jadąc tutaj odmawialiśmy w samochodzie modlitwy brewiarzowe przeznaczone na charakterystyczną dla mariawityzmu, a jednocześnie wzbudzającą wiele nieporozumień i kontrowersji, pamiątkę Ustania Ofiary[†]. O co w niej chodzi? Otóż, w ostatnim z serii objawień, które Założycielka mariawityzmu, błogosławiona Maria Franciszka zapisała własną ręką, jest powiedziane, że Chrystus nie będzie zstępował na ołtarz tam, gdzie ofiara Mszy Świętej będzie sprawowana niegodnie. Co to znaczy?

W tym momencie chciałbym powrócić do dzisiejszej Ewangelii. Faryzeusze i uczeni w Piśmie pytają o rytualną czystość, ale odpowiedź Jezusa nadaje temu pytaniu zasadniczo inny wymiar i znaczenie. Jezus przenosi całe zagadnienie z płaszczyzny kultowej na płaszczyznę moralną - to znaczy tę, która dotyczy naszego stosunku do innych ludzi. Kiedy bowiem padają takie słowa jak: zło, kradzież, zabójstwo, chciwość, przewrotność, niewierność, to przecież nie chodzi o

nic innego, aniżeli o nasz stosunek do bliźnich! To stanowi dla Jezusa istotę religii. W jednej z rozmów, które prowadziliśmy tu w dniu wczorajszym, brat Paweł zacytował pewnego prawosławnego teologa, podkreślającego, że każdy człowiek jest, jeżeli dobrze zapamiętałem te słowa, anteną przyciągającą Ducha Świętego. Tu powstaje pytanie: jak traktujemy ludzi, wiedząc o tym? Jak traktujemy innych, wiedząc, że są oni - tak jak my - nosicielami tego samego Ducha, że w ich nozdrzach znajduje się ten sam Boży oddech, który i nas ożywia? To właśnie stanowi sedno moralności, a nie wierne przestrzeganie takich czy innych reguł i zasad. I to stanowi również sedno naszego wkładu w RZECZYWISTĄ OBECNOŚĆ Pana Jezusa Chrystusa w sakramencie Eucharystii. Ta Obecność nie zależy przede wszystkim od obecności kapłana. Kapłan niczego nie gwarantuje, niczego nie „załatwia” - o tym właśnie przypomina nam mariawicka pamiątka, którą obchodziliśmy w miniony piątek. Ta Obecność zależy od nas wszystkich, od naszej otwartości na słowa Jezusa i naszej gotowości obrócenia ich w czyn. I to nie tylko dziś. Prawdziwy sprawdzian nadejdzie, gdy stąd wyjedziemy, gdy powrócimy do naszych codziennych obowiązków, naszego normalnego życia. Czy będziemy gotowi podejść do innych ludzi jako do ożywianych tym samym Bożym oddechem, który pulsuje również w nas? Czy będziemy gotowi potraktować ich jak nasze siostry i naszych braci? Czy podzielimy się z nimi naszym chlebem i naszym winem i przyjmiemy z ich rąk chleb i wino? Za każdym razem, gdy tak będzie, On będzie wśród nas. Jak to bowiem ujął pewien rabin: Bóg mieszka tam, gdzie my - ludzie - Go wpuscimy...

brat Izaak

¹ ta pamiątka Ustania Ofiary we wspomnianym *Brewiarzu Eucharystycznym* Zgromadzenia Mariawitów jest obchodzona 31 sierpnia. W tym dniu jest też obchodzona przez mariawickie kościoły. Choć Starokatolicki Kościół Mariawitów po śmierci biskupa M. Jakuba Próchniewskiego od lat pięćdziesiątych przestał odnotowywać to święto w swoim kalendarzu, mimo iż oficjalnie nie zostało ono zniesione uchwałą Synodu, Kapituły kościelnej ani Rady Kościoła. (przypisek redakcji)



Czemu chrześcijanie jeszcze się nie zjednoczyli?

W liście do Hebrajczyków (11:32-34) święty Paweł mówi między innymi o Samsonie, Jeftem i prorokach, że „*przez wiarę pokonali oni królestwa, dokonali dzieł sprawiedliwych, doczekali spełnienia obietnic, zamknęli paszcze lwom, stłumili żar ognia, uniknęli ostrza miecza*”, W pierwszej chwili jesteśmy porwani wspaniałą treścią. Wiara zwycięża wszystko! Więc wierzymy, a zwyciężymy wszelkie trudności.

Zaraz, ale przecież Samson jako oślepiiony jeniec zginął pod gruzami gmachu, Jefte przeżył tragedię rodzinną, która ponurym cieniem zakłóciła radość jego zwycięstwa. A prorocy ginęli z ręki współwyznawców o czym sam Chrystus mówi.

Myślę sobie, jak to jest z naszą gorliwą modlitwą i spełnieniem naszych modlitewnych prośb.

O tak. Kiedyś w młodości powiedziano mi „*Jeśli czegoś chcesz, myśl pozytywnie. Nigdy się nie bój, że się nie spełni. Myśl, że na pewno się spełni i przy takiej postawie nasze życzenia się spełniają*” Jako dziecko i potem jako młody chłopiec starałem się myśleć pozytywnie. W późnej młodości nauczyłem się modlić. W dalszym ciągu stosowałem w modlitwie, to czego mnie nauczono jako pozytywnego myślenia. Miałem swój ustalony sposób odmawiania nowenn zgodny z tą zasadą. Nie nadużywałem odmawiania nowenn. A jeśli już je odmawiałem, jeśli się ośmielałem Boga o coś prosić, systematycznie przez 9 dni, robiłem to z przekonaniem, że rzecz jest słuszna i stanie się.

I teraz przy końcu mojego życia staram się zrobić podsumowanie. Czy zawsze się spełniały moje dobre chęci, wyrażone w modlitwie prośby? I za zdziwieniem widzę, że nawet rzeczy zdawałoby się niemożliwe, spełniały się dostownie zawsze.

Ale nie zawsze w ten sam sposób.

Gdy prosiłem o rzeczy zgodne z wolą Bożą, rzeczywiście pożyteczne, spełniały się we właściwym czasie i we właściwy sposób. Ale rzeczy które mi się tylko wydawały dobre i pożyteczne, spełniały się dużo później, wtedy kiedy już nie były na nic potrzebne. Kiedy nie mogły dać radości ani mnie, ani innym. To tak jakby mój anioł stróż chciał powiedzieć: Popatrz o jak niepotrzebną rzecz prosisz. To mogło służyć twemu egoizmowi, lub egoizmowi twoich przyjaciół, ale nie było żadnym dobrem i teraz się spełnia jako cień tego, czego pragnąłeś, albo nawet jako przychodzące nieszczęście - Tego potrzeba dla twojej nauki.

Rozmawiałem z innymi ludźmi, którzy prośby do Boga kierowali zawsze oszczędnie, celowo i z pozytywnym myśleniem. Stwierdzają to samo.

Myślę o przykładach z listu do Hebrajczyków. I tu jest tak samo. Samson czy Jefte chcieli klęski wrogów i to otrzymali. Chcieli również własnej radości, spełnienia dumy i własnego triumfu. O tak, stali się sławni na wieki, ale w sposób zupełnie inny niż pragnęli. Pobożnym ludziom nigdy się nie sprawdzały jedynie życzenia samolubne.

* * *

I myślę sobie o tak ważnej sprawie, jaką jest jedność chrześcijan. Czy ja i inni naprawdę jej pragniemy? Przecież modlimy się o tę jedność szczerze. Przecież naprawdę jej chcemy i w większości myślimy o niej pozytywnie, że ona się stanie. A ona się dzieje, ale w sposób jakże inny od wymarzonego. Jedność powstaje. W naszych kościołach, do niedawno tylko w innych krajach, a teraz już i w Polsce chrześcijanie wszystkich wyznań jednakowo zaczynają wątpić w Boga i kościoły się wyludniają. Powstaje jedność powątpiewania w prawdy religijne. Niewierzący ewangelik jest przecież „tej samej wiary” co niewierzący rzymski katolik lub niewierzący mariawita. Na całym świecie rozpoczyna się formować jedność wiary w nieistnienie Boga. Ale czyśmy się modlili o taką jedność?



I powstaje pytanie, czy w naszych ekumenicznych pragnieniach przede wszystkim chcemy spełnienia woli Bożej, czy podświadomie na pierwszym miejscu stawiamy nasze wyznaniowe egoizmy. Czy nie modlimy się o to, aby inni zgodzili się z nami i wtedy będzie jedność. Byłem na nabożeństwie podobno ekumenicznym w pewnym kościele, gdzie wspaniały chór wykonywał piękne pieśni. Jako odpowiedź na modlitwę Chrystusa, „Ojciec daj aby byli jedno” śpiewano nie „Boże daj abyśmy byli jedno” ale „Boże daj aby byli jedno”. Te słowa znaczyły „My już Panie Boże jesteśmy jedno z Tobą. Prosimy Cię, aby inni byli też jedno, jedno z nami”. W ten sposób idea ekumenii zmieniła się w jej karykaturę, dążenie prozelityczne.



-My, którzy za najważniejszą uważamy literę doktryny, chcemy, aby wszyscy mieli jedną doktrynę.

-My, którzy za najważniejsze uważamy tekst Pisma Świętego, chcemy, aby wszyscy przede wszystkim czytali Pismo Święte, a nie tracili czasu na studiowanie doktryny.

-My, którzy za najważniejsze uważamy prawidłowe, tradycyjne sakralne czynności, chcemy, aby wszyscy przede wszystkim przywiązywali wagę do serdecznego przeżywania obrzędów wiążących nas ze Zbawicielem, a nie do jałowych dyskusji o subtelnościach doktryny, o Piśmie Świętym.

-My, którzy za najważniejsze uważamy dobre czyny i moralność, chcemy, aby wszyscy starali się przede wszystkim być dobrzy i moralni, a nie dbali o teologię wyrażaną przez doktrynę, obrzędy i literę Biblii.

-My, którzy trwamy przy hierarchicznej strukturze Kościoła, chcemy, aby wszyscy chrześcijanie opierali się na mocnej strukturze hierarchicznej, która już sama dba o właściwą doktrynę, obrzędy, normy moralne i interpretację Biblii.

-My, którzy największą wagę przywiązujemy...

I tak dalej

A może będziemy wystuchani dopiero wtedy, gdy odrzucimy pragnienia, które nam mają dać poczucie triumfu przez sposób zaistnienia jedności i jej rodzaj, jeśli pozostawimy Bogu sposób w jaki ma powstać jedność wszystkich świadomych uzdrawiającej mocy Chrystusowej. A może powiedzieć prościej, gdy pozostawimy Panu Bogu sposób jak i na jakiej drodze mają w pełni zdobyć jedność Ci co, kochają Pana Boga...

A wtedy nasze wyznaniowo-egoistyczne wyobrażenia o czytaniu Biblii, o doktrynie, o prawidłowych obrzędach, wspólnej hierarchii i inne też się spełnią, ale tylko jako cienie naszych pragnień, żeby nam pokazać jak były mało istotne.

brat Paweł



Z przedstawionych nam problemów

WIEDZA FIZYCZNA I DUCHOWA

Drodzy Redaktorzy,

Zdaje się, że Jan Paweł II pisał, a ja to czytałem, tylko nie pamiętam gdzie, że nie ma konfliktu między nauką i wiarą. Otóż nie mogę z tym się zgodzić. Zestaw "wytycznych" takich jak: czcij swoich rodziców, nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie kłam i tak dalej, jest godny polecenia każdemu i trudno wymyśleć coś lepszego. Niestety, bycie chrześcijaninem wymaga, abym wierzył między innymi w zmartwychwstanie człowieka zamęczonego kiedyś na krzyżu, w poczęcie dziecka bez udziału mężczyzny, w tak łatwą przemianę opłatka i wina w ciało i krew tego właśnie człowieka zamęczonego dwa tysiące lat temu, w nakarmienie pięciu tysięcy ludzi pięcioma

rybami i pięcioma chlebami, w rozmaite wniebowzięcia i tym podobne rzeczy. Nie trzeba być uczonym, żeby wiedzieć, że takie rzeczy po prostu się nie zdarzają. Uważam, że Kościół będzie musiał do tych spraw kiedyś się ustosunkować, tyle że może to być odległa przyszłość. A na razie, gdy od kilku lat intensywnie myślę o tych problemach, czuję, że niestety przestałem być chrześcijaninem. Bo doprawdy, nie można uwierzyć od samej chęci. Dlatego czuję się jakby wyrwany (zresztą sam to spowodowałem) z mojego dawnego rodzinnego środowiska. Coś mi odebrano, ale sam jestem temu winien.

Dość tego, bo o tym można by długo. Nie oczekuję od Was, że mnie nawrócicie, ale napiszcie, co o tym sądzicie.

Tomasz Kwast

Drogi Czytelniku,

Jesteśmy ekumenistami i dlatego choć nie zostaliśmy upoważnieni do tłumaczenia poglądów rzymskiego papieża, którego cytujesz, odpowiemy Ci z punktu widzenia ogólnochrześcijańskiego. Jeżeli pod nauką rozumiesz tylko wiedzę o materialnym świecie dostrzegalnym fizycznymi zmysłami, to tak jak pisał Dawid Sulej Rudnicki w 66 zeszycie „Pracy” (s.11) taka nauka dotyczy innej dziedziny i nie jest ani zgodna, ani niezgodna z religią.

Ale w Biblii są podane również pewne fakty zewnętrzne, które czasem były uważane za niemożliwe. Na przykład „rozumnie myślący” przez kilka wieków twierdzili, że potop mógł być co najwyżej większą lokalną powodzią. Dopiero tsunami 1883 roku związane z wulkanem Krakatau (40 000 ofiar) i z roku 2004 (300 000 ofiar) zachęciły do obliczenia, że uderzenie bynajmniej nie bardzo wielkiej planetoidy w ocean może spowodować falę obiegającą kilkakrotnie cały glob i kataklizm zgodny z opisanym w Biblii potopem trwającym 150 dni. Tak samo długo miano za fantazję opisywane przez Biblię wskrzeszenia umarłych. Uważano, że dotyczy to co najwyżej letargu. A dziś medycyna zna sposób przywracania życia po śmierci klinicznej. Ile jest na to innych możliwych sposobów, nie wiadomo. Albo, w Księdze Jozuego (10,11) napisano o wielkich kamieniach spadających z nieba. Do końca wieku XVIII mądrzy

ludzie twierdzili, że nie trzeba być uczonym, żeby wiedzieć, że się takie rzeczy po prostu nie zdarzają, że kamienie mogą spadać z góry tylko jeśli wprawdzie będą podrzucone. Potem się okazało, że jednak są takie kamienie zwane meteorytami i na przykład Akademia Francuska musiała przeproszać za błędne twierdzenie. Dlatego radzilibyśmy być ostrożnym z twierdzeniem, że czegoś być nie może. Ale to taka uwaga na marginesie.

Natomiast w Twoim liście jest zawarte kilka problemów, dotyczących zdecydowanie spraw niematerialnych i na niektóre z nich postaramy się rzucić pewne światło, co nie znaczy, wyjaśnić je do końca. Wystarczająco mądrych do tego w redakcji nie mamy. Ze względu na szczupłość miejsca w naszym aperiodyku omówimy te rzeczy kolejno, w kilku odcinkach. Tymczasem zajmę się sprawą podstawową dla chrześcijaństwa - Eucharystią jako Ciałem i Krwią Syna Bożego. Pisaliśmy już o tym kilka razy, możesz poszukać w spisach rzeczy dawnych zeszytów, ale teraz przedstawię sprawę jeszcze w inny sposób. To się może przydać nie tylko Tobie.

Będziemy operować takimi słowami jak dusza, wcielenie... Kto chce coś zrozumieć ze spraw religijnych musi się zgodzić na używanie takich słów, postaramy się używać ich w sensie jak najbardziej zbliżonym do tradycyjnego, znanego na ogół każdemu, kto „chodził na religię” mariawicką, prawosławną, rzymską, czy ewangelicką.

Najpierw uświadommy sobie jak to wyglądało historycznie. Jest kolacja. Pośród swoich najbliższych uczniów spoczywa przy stole Jezus zwany Chrystusem, który zgodnie z podstawowym określeniem sformułowanym ongiś przez świętego Atanazego, jest wcieleniem Syna Bożego nie w ten sposób, że ciało ludzkie jest ożywione boską duszą, ale tak, że jak ciało i dusza są jednym człowiekiem, tak w Jezusie człowiek i Bóg jest jednym Chrystusem. A więc Chrystus jest pełnym człowiekiem mającym również wyższe „człony” ludzkiej natury, a z nimi jest ściśle połączona istota Boska. Możesz zrozumieć co mówimy niezależnie od tego, czy w to wierzysz czy nie. Otóż apostołowie widzą przy stole Chrystusa jako materialnego człowieka, dalekiego od tego, jaki kilku z nich widziało w czasie wydarzenia na górze Tabor, a oczywiście nie są zupełnie w stanie dostrzec w Nim Boga, Stwórcę Wszechświata. Chrystus wie, że będzie aresztowany i

zamęczony na śmierć. I teraz przy kolacji rozdaje uczniom chleb, a potem wino i oznajmia, że stają się one Jego ciałem i krwią. Chrystus każe ten obrzęd powtarzać, a my w liście świętego Pawła Apostoła (I Koryntian 11:26) mamy wyjaśnione, że mamy go powtarzać aż do chwili, gdy Chrystus znów przyjdzie, czyli mówiąc popularnie „aż do końca świata”. Oczywiście apostołowie jedzący wraz ze swoim mistrzem rytualną kolację widzą, że Chrystus nie każe im jeść kawałków swojego ludzkiego ciała. Jego ludzkie ciało pozostaje w całości. Słowa Chrystusa, że to jest Jego Ciało i Krew, przyjmują jako kryjące tajemnicę odczuwając, że podobnie jak pod Jego ludzką naturą postrzeganą zmysłami kryje się wcielony Bóg, tak pod postaciami chleba i wina kryje się Jego Bóstwo złączone przeciw z człowieczeństwem.

Biblia nie mówi w jaki sposób postacie eucharystyczne są połączone z Chrystusem. Pierwsi chrześcijanie brali słowa Chrystusa po prostu. Dopiero późniejsi filozofujący teolodzy zaczęli ogłaszać swoje poglądy. W Kościele Rzymskokatolickim to, co się dzieje określono słowem *transsubstancjacja*. Według tego poglądu, po konsekracji chleb i wino, wyglądają nadal jak chleb i wino, ale się stały czymś zupełnie innym - Ciałem i Krwią Chrystusa. Kościoł wschodni i starokatolicy raczej uważają, że chleb jest nadal chlebem a wino winem, ale się do nich dołączyła natura uwielbionego człowieczeństwa Chrystusa i Jego Bóstwa [zrozumienie uwielbionego Ciała Chrystusa ktoś z redakcji postara się przybliżyć w następnym odcinku]. Chrześcijańscy ezoterycy powiadają, że fizyczność chleba i wina pozostaje niezmienną, ale zmienia się zupełnie ich eteryczność. Zaś anglikanie są raczej zdania, że kto chce, może sobie filozofować i to może być dla wielu pożyteczne, ale do pełni zrozumienia, co się dzieje w czasie konsekracji i tak intelekt ludzki nie doprowadzi, natomiast jeżeli Chrystus powiedział „to jest Ciało Moje, to jest Krew Moja” i zalecił nam wykonywanie tego, to trzeba Święte Postacie traktować jako rzeczywiste Ciało i Krew Chrystusa, a nie jako wspomnienie czegoś co się ongiś odbyło. Poglądy filozoficzne chrześcijan o Eucharystii są - jak widzimy - różne. Jednak wszyscy czciciele Przenajświętszego Sakramentu są przekonani, że kto uważa obrzęd Eucharystii tylko za przypomnienie o czymś, lub tylko za coś, co się dzieje w naszym umyśle i uczuciu, ten nie ma racji.

Że mamy tu do czynienia z czymś wielkim, związanym z rzeczywistym Człowieczeństwem i Bóstwem Chrystusa świadczy doświadczenie wewnętrzne, że po prawidłowym (jak mówimy językiem kościelnym - „godnym”) przyjęciu Komunii Świętej, czyli po starannym zjednoczeniu naszego ciała i krwi z Ciałem i Krwią Chrystusa zdobywamy wewnętrzny spokój i siłę moralną, jakiej mimo wielu wszelkich prób nie mogą nam dać wymyślne praktyki wybitnych psychoterapeutów. Recz wymaga duchowego wysiłku. Dlatego Twoja teza, że przemiana oplatka i wina w Postacie Eucharystyczne jest łatwa wydaje nam się nieprawdziwa. I dokonanie i właściwe skorzystanie z niej nie jest wcale łatwe. Tu odsyłam na przykład do relacji świętej Marii Franciszki z jej objawień w roku 1918.

za redakcję - brat Paweł



Przejąć liturgię



CZEGO BÓG CHCE ODE MNIE

Uczestniczymy we Mszy Świętej z przekonaniem, że Bóg tego od nas chce, ale co to właściwie znaczy? Gdy ktoś zrobił mi coś dobrego, naturalnym odruchem jest chęć odwzajemnienia. Im więcej i głębiej potrafimy medytować bieg naszego życia tym więcej dostrzegamy ile zawdzięczamy Bogu zarówno w chwilach pomyślności jak i w okresach niepowodzeń, nieszczęść i klęsk życiowych. I staje w nas pytanie: cóż oddam Panu za wszystko dobre co mi uczynił? Te właśnie słowa zapisał psalmista w Psalmie 115:3 (116:12), a w następnym wierszu dodał „*Kielich zbawienia wezmę i imienia Pańskiego wzywać będę*”. Czy ten następny wiersz jest odpowiedzią na postawione pytanie?

W janowej Ewangelii mamy osobliwe stwierdzenie dotyczące Słowa, które stało się Ciałem (Jan 1:16) „...z pełni Jego myśmy wszyscy wzięli, i łaskę za łaskę” - w greckim oryginale: *χαριν αντι χαριτος*. W zamian za co wzięliśmy łaskę? Za inną łaskę? No tak, za otrzymane łaski nic własnego nie mamy do odwdzięczenia się Bogu, jak tylko gotowość przyjęcia dalszych łask. Łaskę za łaskę.

Ta prawdziwa choć dziwna myśl przenika trydencką Mszę Świętą. W czasie ofiarowania kapłan ofiaruje Bogu ziemskie dary chleb i zmieszane z wodą wino. Wykonuje przy tym ten sam kotyszający ruch jaki wykonywał przy ołtarzu kapłan starotestamentowy. Tak, to jest kontynuacja ofiar Starego Testamentu, zwłaszcza ofiary Melchizedecha. Chrześcijanie nie odcinają się od starotestamentowych korzeni. Ale potem, gdy następuje przeistoczenie, gdy w odpowiedzi na szczerze ofiarowane dary, sam Zbawiciel zstępuje na ołtarz i jednoczy się z chlebem i winem, co zebrany lud może oddać Bogu? We Mszy Świętej trydenckiej zaraz po słowach ustanowienia rozlegają się słowa „...ofiarujemy Najjaśniejszemu Majestatowi Twojemu z **Twoich darów i łask** Hostię czystą...”. Tak, od siebie za taki dar niczego dać Bogu nie możemy oprócz tego, co On nam dał. Ale czy to znaczy ofiarować nam ofiarowane skarby? Nie przyjąć daru, zaproponować Bogu jego zwrot?

I tu znajdujemy odpowiedź w dalszej części liturgii trydenckiej usuwającą wszelkie wątpliwości. Gdy kapłan przyjmie Ciało Pańskie, wie, że dostąpił wielkiej łaski, za którą winien jest wdzięczność. Powtarza więc słowa, które przytoczyliśmy na początku „Cóż oddam Panu za wszystko co mi uczynił?” i zgodnie ze słowami janowej Ewangelii odpowiada sobie słowami tego samego cytowanego wyżej psalmu „Kielich zbawienia wezmę i imienia Pańskiego wzywać Będę”. Przyjmę łaskę za łaskę. Za łaskę zjednoczenia się z Ciałem Chrystusa odwdzięczę się Panu radosnym zjednoczeniem w Jego Krwią jako przyjęciem następnej łaski. Mateczka w przeżyciu ponadzmysłowym widziała, że Ciało

oczyszcza, Krew ożywia. Łaski Komunii świętej są dwie - Ona leczy, oczyszcza ale i ożywia uświęca.

Tych słów często nie słyszymy w kościele, bo gdy je kapłan wymawia ludzie czasem śpiewają jeszcze jakąś pieśń, lub Ci, którzy się spóźnili na ministranturę odmawiają już spowiedź powszechną. Ale mamy je zapisane zarówno w mariawickich brewiarzykach jak i w tradycyjnych rzymskich mszalikach. Jeśli świadomie przeżyjemy w czasie Mszy świętej ofiarowanie jako niedoskonałe ludzkie darowanie Bogu czegoś ziemskiego, materialnego, jeśli po podniesieniu wczujemy się w rzeczywistość niemożności oddania Bogu niczego naszego, co by godne było łask otrzymanych, gdy potem razem z kapłanem postanowimy w zamian za uzdrawiające działanie Przenajświętszego Sakramentu otworzyć się na Jego działanie uświęcające, rozwijać w sobie świętą żywą miłość, gdy w podziękowaniu za jedną łaskę otworzymy się na przyjęcie drugiej, jeszcze wspanialszej, zrozumiemy sporo z tajemnic uświęcenia.

Pozostaje tu jedna rzecz, która czasem bywa powodem nieporozumień. Zaraz po słowach „*Kielich zbawienia wezmę i imienia Pańskiego wzywać będę*” następują dalsze „*Chwaląc będę wzywał Pana i będę wybawion od nieprzyjaciół moich*”. Cóż to? Zaraz po najświętszych ideach egoistyczna myśl o pokonaniu wrogów? - A czymże jest całe zbawcze działanie Boga, jeśli nie wyzwoleniem nas spod władzy naszych nieprzyjaciół - Księcia Tego Świata i jego towarzyszy. Gdy we wstępie (ministranturze) do Mszy Świętej mówimy „*od człowieka zdradliwego i niesprawiedliwego wybaw mnie*” nie myślimy przecież o innych ludziach nam szkodzących, tylko od uwolnieniu nas samych - choćby tylko na czas uczestnictwa w Boskiej liturgii - od człowieka zdradliwego i niesprawiedliwego, którego ukształtowaliśmy w sobie pod wpływem duchów lucyferycznych i mesfistofelicznych. Podobnie wszystkie inne miejsca tekstów kultowych, w których jest mowa o wrogach mamy odnosić do złych duchów, a nie do naszych bliźnich.

Tradycyjne liturgie mszalne tworzone przez widzących ojców Kościoła pełne są wspaniałych tajemnic godnych medytacji.

brat Paweł



DWA AFORYZMY

Rozsądek nie zawsze jest miarą dojrzałości, Czasami jest tylko miarą tchórzostwa.

Czas zabija wszystko: wspomnienia i miłość. Najtrudniej jednak zabija wspomnienia o nieziszczonej miłości.

Honorata Korpikiewicz



OWCE I PASTERZ

Za górami, za lasami, w małej krainie, w prześlicznej dolinie, żyje od niedawna trzódka owiec i ich pasterz. Jacys inni od reszty.

Nie chcę wadzić nikomu, przyjaźni, otwarci na ludzi i świat. Nie obnoszą się ze swą innością. Czują ciągle brzemię przeszłości. Ta inność wzbudzała bowiem przeciwko nim niechęć, agresję lub wręcz przemoc większości żyjących w dolinie, licznych pasterzy i ich owiec.

Nasza trzódka owiec wraz z pasterzem przetrwała burze, pioruny i zawieruchy. Została ta inność. Zrodził się smutek wyobcowania. I tylko pasterz cierpliwie prowadzi trzódkę znanym jej szlakiem po hali, wskazując na pokorę, miłość do ludzi i świata jako lekarstwo na smutek.

Aż dziwne przy tym, że najpierw wędruje odważnie trzódka owiec, a za nimi nasz pasterz, bacząc, aby żadna się nie zgubiła. Z serdecznością przygarnia też do swej trzódki każdą biedną, zabłąkaną owcę, pragnącą dobroci i miłości.

Hanna Gołębiowska

PS. Moje remedium na smutek, w ramach autoterapii.



GENESIS

Na początku było słowo... KOCHAM

światło

*najpierw stworzyliśmy sobie niebo pełne marzeń
a ziemia była pustkowiem bez słów i dotyku
ponad nami unosiło się uczucie
gdy zapaliliśmy iskierkę zrozumienia
nastał poranek – dzień pierwszy
(nocą śniłam o tym co uczynimy jutro
- ty uśmiechałeś się w ciemnościach)*

Woda

*by ugasić pragnienie
piliśmy nieboskłon płynący po wodach
tak mijał poranek i wieczór dnia drugiego
(zbudziłam się w nocy
ktoś oddzielił niebo od wody)*

łądy i morza

*nasze marzenia o stałym lądzie
płynęły w nocy po niebie
wtedy powiedziałaś
„Niech się stanie ziemia”
i z wód wynurzyła się powierzchnia sucha
a ty widząc że jest dobra
uczyniłeś ją domem
ja spełniłam sen o ogrodzie
który wyrósł dookoła niego
nasze dłonie pielęgnowały trawy i drzewa
- doglądałam każdego listka i pieściłam każdy pączek
nawet nie zauważyłam kiedy skończył się dzień trzeci*

jasność dnia i ciemność nocy

*w jasności dnia
chodziliśmy wyprostowani
poznając wzajemne kontury uśmiechów
ale gdy nastąpiła noc
zrywaliśmy się we śnie i plecami do siebie
szukaliśmy po omacku naszych linii papilarnych
dlatego kiedy nastał dzień czwarty
każde z nas zapaliło gwiazdę
by oświetlić wspólną drogę
- razem zawiesiliśmy księżyc nad progiem wieczoru
a potem
nie mogliśmy zasnąć zapatrzeni w siebie*

istoty żywe

*nasze uczucie było dobre
woda, ziemia i niebo też były dobre
woda wystąpiła z brzegów nieba
niebo kołysał wiatr nad ziemią
i nie wchodziły sobie w drogę
bo tak im nakazaliśmy
gdy nastał dzień piąty zobaczyliśmy
usychające rośliny
martwą toń morza
i ciemne chmury
daliśmy wiec wodzie pływających odkrywców
niebu skrzydlatych marzycieli
roślinom wiernych przyjaciół
którzy tak jak i one zrosły się z ziemią
- teraz my mieliśmy ziemię a ona miała nas
wieczorem dzieliliśmy nasze uczucie z całym światem*

człowiek

*szósty dzień trwa
razem wtoczyliśmy słońce na szczyt nieba
i spacerujemy po jego promieniach
nazywając kolejną godzinę wspólnego życia
ja krzyk z twojego szeptu*

*ty oddech z mojego uśmiechu
stwarzamy się na swoje podobieństwo
dopasowujemy żebro do żebra
i serce do serca
uczynimy ziemię poddaną naszemu szczęściu*

odpoczynek w dniu świętym

*we mgle słyhać trzepot naszych stóp
- bezpieczny szlak który łączy
niebo i ziemię
lądy i morza
dzień i noc
tak będziemy odpoczywać w dniu świętym
powtarzając słowo które było na początku*

Ola Habdank-Wojewódzka



Początki niemieckiego mariawityzmu

O ile oficjalny początek Katolickiego Kościoła Zakonu Mariawitów w Niemczech (Katholische Kirche der Mariavitenorder in Deutschland) budowany po drugiej wojnie światowej na sukcesji apostolskiej przyjętej od mariawitów francuskich jest dość dokładnie znany i udokumentowany źródłowymi materiałami w archiwum mariawickiego arcybiskupa Kolonii, o tyle nie ma publikacji o wcześniejszym zaistnieniu w Niemczech mariawitów, którzy podczas II wojny światowej weszli w kontakt z mariawitami na okupowanych terenach Polski włączonych do Rzeszy Niemieckiej. Nasza redakcja od początku zbierała wypowiedzi ludzi, którzy coś o tym wiedzieli. Obecnie sądząc, że już niewiele dalszych danych da się zebrać, gdyż

mariawici pamiętający czasy okupacji hitlerowskiej odchodzą lub tracą pamięć, publikujemy zebrane w różnych latach relacje osób, które przeżyły okupację hitlerowską na terenach, o których mowa.

Brat Stanisław Jałosiński, znany mariawicki muzyk, autor trzynomowego śpiewnika mariawickiego motywując odmowę wywiadu małą wiedzą na ten temat napisał tylko:

Wiem niewiele - byłem wtedy dzieckiem sześciocioletnim. Pamiętam tyle, że było dwóch Niemców Oberle i Mass. Oberle był wyświęcony na diakona przez biskupa Szymona Bucholca i chodził w habicie, a tego drugiego w habicie nie widziałem.

Te dwa zdania są jednak znaczące. Tylko brat Jałosiński wspomina osobistą obecność w Łodzi człowieka o nazwisku Mass. Chyba idzie o przyszłego mariawickiego biskupa Helmuta M. Paulusa Norberta Maasa, który po latach został konsekratorem brata arcybiskupa M. Rafaela w Felicjanowie. Sześciocioletni chłopiec nie musiał znać pisowni tego nazwiska.

Drugi świadek, mieszkanka plebanii mariawickiej w Łodzi, która niestety przed śmiercią zastrzegła sobie **anonimowość** napisała nam ongiś co następuje:

Karol M. Jan Oberle

Pochodził z Saarbrücken - Niemcy - tam mieszkała jego matka, którą ogromnie kochał. W mojej pamięci zachowałam wspomnienie o nim jako o człowieku o wielkim uroku osobistym, dobroci serca i zapewne posiadającego charyzmę. Myślę, że nie będąc związana ślubowaniem mogłabym się w nim zakochać.

Łódź - chyba rok 1940. Niemcy przesiedlają nas wszystkich z Franciszkańskiej na Południową. Tam właśnie nadszedł list do biskupa Szymona od pewnego Niemca Karola Oberle. List był chyba z Saarbrücken. Najprawdopodobniej adres dał mu Maas - niemiecki starokatolik. Karol Oberle zapragnął informacji u źródła. Pamiętam wzruszenie brata biskupa gdy ten list czytał. List z odpowiedzią

rodził się dość długo. Oberle Przyjechał. Był to żołnierz Wehrmachtu na kierowniczym stanowisku... Do końca budziło zdziwienie, jak w światowym człowieku mogło się zrodzić tyle duchowości, tęsknoty za kontaktem z Bogiem. Często adorował Przenajświętszy Sakrament (obserwowałam go na modlitwach). My wszystkie łódzkie siostry kochałyśmy go jak syna. Dzięki jego interwencji zostały zwolnione siostry z obozu na Łąkowej. Groziła im niechybna śmierć. Był w tej sprawie na rozmowach z Gestapo razem z biskupem Szymonem, który idąc na nie żegnał się z nami - myślał, że może na zawsze.

Oberle odwiedził Płock, objechał wszystkie parafie na terenie Rzeszy już jako diakon. Otrzymał imię Jan. Był sprawiedliwy - co go raziło mówił szczerze. Nie wszyscy nasi biskupi byli według jego opinii apostołami Dzieła Miłosierdzia; Pamiętam - na Podlesnej w Łodzi głosił kazanie porywające wiarą i wdzięcznością dla Boga za otrzymane powołanie do mariawityzmu. Przyjeżdżał w mundurze, ale w habit przebierał się jeszcze w pociągu. W 1943 został wezwany na front. Słyszałam, że za karę zbytniego zaangażowania w sprawy polskie był wysłany na pierwszy ogień. Ostatni sygnał od niego to paczka na Boże Narodzenie, którą otrzymał na gwiazdkę. Nie rozpakował jej, tylko przedadresował ją do mnie, do Dobrej, gdzie wtedy już byłam. Na pewno zginął. Niech odpoczywa w pokoju.

Karol Maria Pagler - Salzburg Austria

W 1942 roku lub może w 1943 wszedł do naszego kościoła na Podlesnej w Łodzi żołnierz Wehrmachtu. Klęczał długo pogrążony w modlitwie. Fakt ten rozwiał obawy naszego brata biskupa co do celu przybycia takiego gościa. Podszedł więc i zapytał, czy może zdrony, potrzebuje rozmowy. Z entuzjazmem przyjął zaproszenie. Przedstawił się i uzasadnił swoje wejście - właśnie do mariawickiego kościoła - wielką czcią do Matki Najświętszej Nieustającej Pomocy (matka dała mu na drugie imię Maria). Wszedł do pokoju, broń oddał w ręce siostry M. Mieczysławy. Byliśmy zafascynowani jego świadectwem głębokiej wiary. To był artysta malarz i poeta. Mówił porywająco. Już przeżył frontowe walki, podczas których modłał się

poczuł, że jest pod kloszem opieki Matki Najświętszej; pamiętam, że takiego określenia użył. Oczy miał duże, tęskne, jakby za mgłą. Przystojny młody mężczyzna. Uderzała mnie jego pokora. Narysował węglem portret jednego z dzieci biskupa. Z Karolem Oberle - bratem Janem poznali się niestety tylko korespondencyjnie. Dwie pokrewne sobie dusze - tak odmienni od środowisk, w których żyli.

Pożegnał się i więcej o nim nie słyszałyśmy. Na pewno zginął. Pokój jego duszy...

Kilku dodatkowych informacji udzielił nam brat **Szymon Bucholc** (pomijam wiadomości podane już przedtem):

Oberle był oberleutnantem (porucznikiem) jako duchowny mariawicki - tylko diakonem. To on załatwił szpital dla konającej w Łodzi siostry M. Cherubiny. Szpital nazywał się „Bethlehem”. Intensywnie się uczył polskiego języka, bo chciał mieć lepszy kontakt z wszystkimi siostrami. Parodiując wobec nas pozdrowienie „Heil Hitler” mówił „Heil dich, Hitler” (lecz się, Hitlerze). Został przydzielony do prowadzenia intendencji we Lwowie. Zarządzał przydziałami ubrań i żywności dla żołnierzy. Potem za zbyt duże zaangażowanie w sprawy polskie i wykryte kontakty z akowcami został zdegradowany i wysłany pod Warkę gdzie zginął.

Natomiast Graff (hrabia) Karol Maria von Pagler, Ausatriak miał tylko stopień feldwebela (sierżanta).

Siostra **Cherubina Przysiecka** dorzuciła nam, że szczególne względy bratu M. Janowi Oberle okazywał biskup M. Filip Feldman. Brat Jan bywał w Płocku w roku 1940, a może i w początku roku 1941. Od niej dowiedzieliśmy się też, że w tym czasie Francuz, brat mariawita o nazwisku Roblaux, późniejszy diakon, który przyjechał do Płocka albo w końcu roku 1938, albo wiosną 1939 roku nie zdążył wrócić do Francji przed wybuchem wojny, i z Płocka wyjechał dopiero pod jesień 1940 roku, czy wprost do Francji, czy pozostał przez jakiś czas gdzie indziej w Polsce, tego nie wie. Był szczupły delikatnej budowy. Po wojnie dowiedziała się, że zapadł na gruźlicę i

zmarł. Interesujący jest fakt, że w tym samym czasie przebywali u mariawitów na polskich terenach włączonych do Rzeszy zarówno brat Roblaux - Francuz, jak i późniejszy niemiecki biskup brat M. Paweł Maas wprawdzie to nie może być jeszcze dowodem rozpoczęcia już wtedy jakiejś współpracy mariawitów francuskich z niemieckimi, może być jednak impulsem do badań, czy i jakie znaczenie miały te kontakty dla powojennych dziejów mariawityzmu francuskiego, a przede wszystkim dla powstania mariawityzmu niemieckiego.

Trudno tymczasem, usystematyzować zapisane fakty, powiązać z całością historii zachodnioeuropejskiego mariawityzmu i wyciągnąć ogólne wnioski. Temat wydaje się ciekawy i wszelkie przyczynki do niego, zwłaszcza jakieś dalsze informacje o historycznych faktach z tej dziedziny chętnie opublikujemy.

redakcja



LISTY DO REDAKCJI



RELIGIJNA EROTYKA

Z wielką radością przeczytałem w poprzednim zeszycie „Pracy” wiersz Oli. Gdy brat arcybiskup Michał wyprowadził nas z hipokryzji i wskazał na erotykę jako na coś, co odgrywa ważną rolę w życiu chrześcijanina (celibat ma właśnie wysoką wartość też jako erotyka, tylko z przeciwnym znakiem; skierowana nie do drugiego człowieka lecz do Boga) zarzucano mu, że wprowadza do kościoła obsceniczność. Ach czego się nie dopatrywano w jego artykułach, zarządzeniach i czynach!

Rzeczywiście w owym czasie trudno było znaleźć właściwy sposób wyrażania tych rzeczy. I dziś teolodzy mają kłopoty z opisywaniem w tradycyjnej terminologii spraw erotycznych. Był on nowatorem. Marzyłem, żeby ktoś rozwinął tę sprawę dalej, na przykład wprowadził jego idee do poezji. Przedtem w tej dziedzinie istniały przede wszystkim nieporozumienia. Ktoś wziął erotykę Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej za poezję religijną, ktoś się dopatrywał w maryjnych poezjach Jana od Krzyża seksualnych pożądań...

I oto moje oczekiwania spełniła Ola. Tak, to jest właśnie to, co wskazuje światu prawdziwie mariawickie podejście do erotyki. Wszelka miłość również ta erotyczna jest wartością sama dla siebie. Dziś, gdy Ziemia jest napełniona ludźmi i odpadami ich cywilizacji, jest czymś bardzo dziwnym „usprawiedliwiać” wartość seksualności, a zwłaszcza jej artystycznego wyrazu - erotyki „koniecznością rozmnażania rodzaju ludzkiego”. Gdyby szło o gruntowne i szybkie przepełnienie Ziemi mógłby Pan Bóg nam kazać rozmnażać się bez erotyki, na przykład przez pączkowanie. W wierszu Oli widzę ważny element kultury mariawickiej - śmiałe wstawienie piękna erotyki w religijne odczuwanie; odczuwanie rozwijania miłości jako najważniejszego zadania Ziemi. Poezją da się czasem wypowiedzieć prawdę lepiej niż językiem teologów.

były student

Dopisek redakcji:

Nasz Drogi Korespondent już zapewne zauważył, że w obecnym zeszycie zamieszczamy następny wiersz Oli. Tym razem podpisany nie tylko imieniem, ale i nazwiskiem. Do tego informujemy, że Poetka obiecała nam dalsze wiersze. Natomiast może nie jest to ścisła prawda, że nikt podobnych wierszy nie pisywał wcześniej.



OMÓWIENIA, RECENZJE



Znakomita książka jubileuszowa



Wreszcieśmy się doczekali większego dzieła na 150-lecie narodzin Mateczki. Nie lubię pisać recenzji, cieszę się, gdy je gotowe przysyłają do redakcji inni. Ale czytając tę książkę nie mogłem się powstrzymać od notowania przychodzących mi myśli i chcę się nimi szybko podzielić z czytelnikami. Jest to pięknie wydana książka o ładnej, łatwo czytelnej czcionce ze wspaniałymi ilustracjami. Ale nie w zewnętrznej szacie jest jej główna wartość, lecz w ciekawym podejściu do sprawy. Książka nosi tytuł *Mistrzynie Ducha*¹ i składa się z prac wielu autorów. Przede wszystkim zawiera prace samej Mateczki. Na początku jest zamieszczony protokół odpowiedzi na pytania w czasie inkwizycyjnego przesłuchania Mateczki przed biskupem Szembekiem. Treści pytań możemy się tylko domyślać. Odpowiedzi nie są pisane przez Mateczkę, tylko zapisywane przez protokolanta, ale podpisane przez nią jako zgodne z jej wypowiedziami. Przez urzędowy protokół przebija prostota i jasność wypowiedzi, prawdziwość rozumienia przez Mateczkę spraw Bożych. Ona podpisawszy zobowiązanie, że treść przesłuchania zachowa w pełnej tajemnicy nigdy nie wyjawiała, o co ją pytano i co odpowiadała. Teraz w związku z rozmowami rzymsko-mariawickimi mogliśmy się dowiedzieć o przebiegu przesłuchania. Jest to sprawa sprzed przeszło stu lat, ale się ją czyta jakby była dzisiejsza, najbardziej aktualna.

Książka zawiera też teologiczną rozprawkę Mateczki *Życie duchowne* znaną od dawna mariawitom jeśli nie z archiwalnych roczników „Maryawity”, to z pierwszego wydania książki *Dzieło Wielkiego Miłosierdzia*. I choć w przeciwieństwie do zeznań, rzecz nie jest nowością, czytamy ją również jak zupełnie aktualną. Może w kilku miejscach język wydaje się nieco stary. Na przykład wolelibyśmy mieć „życie duchowne” zamiast „życia duchownego”. Widzimy, że Mateczka umiała przedstawiać sprawy duchowe tak, że opis nie łatwo się deaktualizuje. Widać to tym ostrzej przez porównanie tekstu

samej Mateczki z zamieszczonym również *Uzupelnieniem do życia duchownego*, napisanym przez brata biskupa Jakuba Próchniewskiego. Wprawdzie w *Dziele Miłosierdzia* napisano, że biskup Jakub pisał to pod dyktando Mateczki, ale słyszałem jeszcze od niego samego, że pisał to według wskazówek Mateczki. Ten zapis „pod dyktando Mateczki” oznaczał tylko, że Mateczka mówiła jakie treści miał napisać, a on już sam formował tekst. Styl tego dalszego ciągu jest wyraźnie inny; miejscami razi czytelnika XXI wieku wytartymi pojęciami teologicznymi. Nie łatwo naśladować Mateczkę.

Dlatego należy pochwalić redaktorów, że zamiast dalszych przedruków sprzed stu lat licznych autorów mówiących o Mateczce, zamieścili artykuły doktorów Sławomira Gołębiowskiego (*Rozważania o Objawieniach Matki M. Franciszki Kozłowskiej* oraz *Działalność społeczna Mateczki*) i Krzysztofa Mazura (*Marii Franciszki Kozłowskiej zmagania z nioteologiczną rzeczywistością*). Dotyczą one początków mariawityzmu ale pisane są obecnym językiem i przemawiają do XXI-wiecznego czytelnika współczesnymi pojęciami i wyobrażeniami. Oświetlają pierwotne sprawy mariawickie w sposób zrozumiały dla każdego czytelnika interesującego się istotnie religią i mariawityzmem.

I tu trzeba powiedzieć, że o ile zupełnie słuszną była decyzja zapoznania czytelnika z mariawickim nurtem badań polskiego mesjanizmu, to pewną usterką książki jest zamieszczenie obszernych wyjątków z dzieła brata arcybiskupa Michała poświęconego temu tematowi, *Wykład na Apokalipsę* wraz ze *Słowem wstępnym* z bardzo tylko krótkim współczesnym wstępem bez istotnych przypisów. Gdy dziewięćdziesiąt lat temu arcybiskup mariawitów pisał to dzieło zwracając uwagę na związki między Apokalipsą świętego Jana a ideami wieszczów polskich - polskiego mesjanizmu i zarazem porównywał je z *Dziełem Wielkiego Miłosierdzia*, jego słowa nowatorskie i aktualne były zrozumiałe dla każdego Polaka, który czytał jakieś lektury szkolne. Dziś, gdy po potężnych wydarzeniach historycznych zasadniczo się zmieniło wśród Polaków postrzeganie polskiego mesjanizmu (niektórzy nawet wykształceni ledwie coś wiedzą, co to był ten mesjanizm), te same słowa wydają się bezbarwne, niezrozumiałe, a czasem nawet mają pozory błędu (przykłady podaję dalej). Należało raczej zastosować tu ten sam sposób przedstawienia sprawy co w innych tematach. Dać artykuł współczesnego autora na niewątpliwie ciekawe sprawy poruszone w *Wykładzie na Apokalipsę*. Dałoby to utrzymanie jednolitego charakteru całej książki. A jeśli już redaktorom z jakichś powodów zależało na podaniu fragmentów autentycznego tekstu tego wykładu, trzeba go było skomentować dobrym, bieżącym komentarzem historycznym, rozsądnymi przypisami. Co innego odbić dla ekskluzywnego grona

specjalistów reprint dawnego dzieła, co innego przypomnieć o dawnym dziele zwykłemu czytelnikowi. Tu jakby o tym zapomniano. Ale to jest chyba jedyna poważniejsza usterka tej skądinąd znakomitej książki. Krytykując tu tylko sposób wykonania, sam zamiar przedstawienia poglądów brata arcybiskupa Michała jako organicznego dalszego ciągu działalności Mateczki i zamieszczenia tego wątku w jubileuszowym dziele o Mateczce trzeba uznać za zupełnie słuszny.

Książka zamieszcza też krótki przyczynek tajemniczego autora, który się podpisał tylko inicjałami br. M. I. *Dar Dzieła Miłosierdzia*, gdzie są między innymi wyrażone stwierdzenia szerzone przez nasz aperiodyk, mianowicie, że nie tylko kapłani mariawicy, ale i siostry prowadzą życie zakonne według pierwszej reguły świętego Franciszka (s.57). Mowa jest także o prowadzeniu przez mariawitów życia prawie klasztornego, ale dostosowanego do warunków poza murami (s.58). Cieszymy się z tego dość niespodziewanego poparcia naszych tez.

Pisząc o innych zawartych w książce tezach, można się zastanowić, czy będzie prawidłowo odczytane, pozostawione bez bliższego omówienia twierdzenie (s.121), że „*Apokalipsa wskazuje nam [...] drogę powrotną do utraconego [...] Raju rokoszy*”, bo może raczej drogę naprzód do Nowego Jeruzalem. Bez omówienia może też być błędnie zrozumiana fraza, że pomiędzy prawosławiem i rzymskim katolicyzmem w doktrynie eucharystycznej „*na jedna jotę*” nie ma różnicy (s.135), podczas, gdy wiadomo, że Rzym utrzymuje tu sformułowanie o transsubstancjacji, podczas gdy Konstantynopol tego terminu nie uznaje i wyraża tę samą treść innym doktrynalnym określeniem. Zastrzeżenia budzi bardzo ostrożnie ledwie wyrażone przypuszczenie (s.192), że na potępienie mariawityzmu przez Rzym mógł wpłynąć niespełnione ambicje niektórych działaczy kościelnych. Gdy czytamy o tym, jak różni „wybitni” kapłani i biskupi najpierw pragnęli odgrywać ważną rolę, może i kierować mariawityzmem, a gdy to się okazało niepotrzebne zaczęli mu zajadle szkodzić, chyba tak lekkie sformułowanie musimy uważać za zbyt delikatne. Równie zbyt ostrożnością pachnie sformułowane na s. 221 pytanie, czy inkwizycyjne przesłuchanie Mateczki miało na celu zebrania obiektywnych danych o Mateczce, czy było już prowadzoną grą. Wydaje się, że podczas gdy mariawici proszą o formalne zatwierdzenie swojego istnienia, a biskup żąda od zaśluzycielki wyznania wiary i przesłuchuje ją pod rygiem inkwizycyjnym, trudno to pogodzić z obiektywnym podejściem do sprawy. Rozumiem jednak, że autorzy woleli przesadzić w stronę wątpliwości niż stronniczości.

Pośród wielu szczególnie ważnych pozytywnych fragmentów cieszy, że książka w jawny sposób prostuje krążący zarzut wobec Felicjanowa, jakoby przypisywał Mateczce niepokalane poczęcie w tym

samym sensie co Bogurodzicy. Na s. 152 czytamy jasno „*Mateczka bowiem narodziła się w grzechu pierworodnym i niepokalanie poczęta od początku nie była*”. Oby chcieli to przeczytać wrogowie mariawityzmu. Wspomnienie pozytywne o objawieniu w La Salette (s.165) świadczy jasno, że szanujemy nie tylko „swoje własne” objawienia, o co bywamy czasem pomawiani. Istotne jest też wskazanie, że myśl i działalność społeczna mariawitów jest istotnie związana z ideami czysto religijnymi (s.174/175), a nie było tylko powierzchownym działaniem dla zdobycia popularności wśród prostego ludu.

Chcę jeszcze omówić kończący książkę przyczynek wspomnianego już poprzednio Sławomira Gołębiowskiego „*Kto dokonał zmian w tekście objawień Marii Franciszki Kozłowskiej przestanych do Rzymu?*”. Autor przedstawia tu swoją hipotezę w tej sprawie opublikowaną ongiś w nieco inny sposób w „Pracy nad sobą” (zeszyt 59 s. 19). Przy okazji omawia sprawozdania Komisji Mieszanej powołanej przez Kościół Rzymskokatolicki i Starokatolicki Kościół Mariawitów. Zauważa przy tym, że przez zbyt ni mariawicki liberalizm i zbyt nie okazywanie dobrej woli strona płocka pozwoliła czytelnikowi zrozumieć, że w końcowym słowie strony rzymskiej prawdziwe jest twierdzenie, że Święte Oficjum zbadało szczegółowo objawienia Mateczki. Od siebie dodam, że było to tak. Gdy już po roboczym zamknięciu redakcji tomu dotyczącego współczesnego zrozumienia objawień Mateczki, rzymscy katolicy zmienili swoją końcową wypowiedź i wprowadzili tam treści w ogóle nie dyskutowane w czasie obrad Komisji Mieszanej, mariawicy delegaci do Komisji (również ja w ich gronie) byli tak tym zaskoczeni, że zamiast stanowczego żądania aby usunąć wątki przez Komisję w ogóle nierozpatrywane, a wśród nich kłamliwe twierdzenia, dodali tylko do swojego słowa końcowego drobny akapit stwierdzający łagodnie, że nie zamierzają w równie agresywny sposób jak ona odpowiadać stronie przeciwnej. Wydawało się bowiem że z tekstu drugiego tomu „historycznego” wynika jasno, że prawdziwy tekst Objawień Dzieła Wielkiego Miłosierdzia w ogóle nie był przez Święte Oficjum rozpatrywany i stąd widać gruby fałsz stwierdzenia rzymskiego. Naiwnie uważano, że to wystarczy. Ale mało kto czyta oba tomy sprawozdań jednocześnie i uważnie. Potem się okazało, że wprawdzie sprawa jest jasna dla wnikliwego czytelnika, ale pobieżnie czytający łatwo dojdzie do błędnego wniosku. Dobrze że i ten problem został poruszony w wielką rocznicę narodzin Mateczki. Sprawa fałszerstwa tekstu objawień dokonana w początku naszego ruchu i wtedy przez mariawitów ledwie zarejestrowana wśród natłoku podobnych wrogich akcji, po stu latach uzyskała nowe światło przez wydobyć

nieznanych dokumentów z mroku watykańskich archiwów, a pokazuje jakimi metodami zwalczano Mateczkę i Dzieł o Boże.

Aż szkoda, że wydanie książki nie zdążyło ani na uroczystość Zesłania Ducha Świętego, ani Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. I w Felicjanowie i w Płocku jej egzemplarze rozeszłyby się jak świeże bułeczki. Teraz z rozprzedażą mogą być pewne kłopoty, ale - miejmy nadzieję - niewielkie.

brat Paweł

¹ *Mistrzynie Ducha - W 150 rocznicę Narodzin Mateczki - Tom I*
- Wydawnictwo Kościoła Katolickiego Mariawitów - Felicjanów
2012 - 272 str.

=====

SPROSTOWANIE.

W mojej recenzji sprawozdaniu zamieszczonym w zeszycie 67 „Pracy” napisałem, że chętnie brano, rozdawaną książkę „Wszystkich ludzi uważamy za braci”. Redakcja widocznie nie wierząc, że ktoś mógł rozdawać książki za darmo, zmieniła mój tekst (s.25 wiersz 23 od góry) na „ją chętnie kupowano”. Oj brzydko, Drodzy Redaktorzy! A w ogóle żałujcie, żeście nikogo nie wydelegowali na tę piękną mińską uroczystość.

były student



co nowego w Zgromadzeniu

Ponieważ otrzymujemy stale zapytania, co się dzieje w Zgromadzeniu, a co gorsza niektórzy nawet zarzucają nam podejrzaną tajemniczość działania, zamierzamy zaczynając od obecnego zeszytu w krótkich komunikatach informować o najważniejszych w nim wydarzeniach. Nie chcemy, aby przez to nasz aperiodyk nabrał charakteru wewnątrzzgromadzeniowego. Będziemy usiłowali nasze pismo prowadzić nadal jako ogólnomariawickie, a - ponieważ Dzieło Miłosierdzia jest dane

dla całego świata - jako ogólnochrześcijańskie, nie mając niestety widoków na uczynienie naszego aperiodyku ogólnościowym.

Rekolekcje dla anglikanów

O ile powszechnie wiadomo, że nasze Zgromadzenie niedawno przez kilka lat organizowało konferencje teologiczne i zamknięte rekolekcje w Kościele Starokatolickim Mariawitów, o tyle zapominaliśmy już o czasach, gdy to Zgromadzenie zgodnie ze swoim powołaniem pracy dla całego świata nie zamykało się w jednym kościele, ale działało wśród wielu denominacji religijnych. Przed pierwszą wojną światową członek Zgromadzenia Mariawitów brat kapłan Marc Fatom budował przeciw początki Kościoła Starokatolickiego Francji, a współpraca z kolebką starokatolicyzmu w Holandii nie ograniczała się bynajmniej do przyjęcia stamtąd sukcesji apostoelskiej, lecz wyrażała się również w przyjęciu do Zgromadzenia paru holenderskich księży. Ponadto w samej Polsce w latach dwudziestych usiłowano współpracować bratersko z Kościołem Narodowym w jego parafiach w Toruniu Grudziądzu i Bydgoszczy, gdzie arcybiskup Michał i biskup Jakub prowadzili gościnnie rekolekcje poza okresem Wielkiego Postu, zaś siostry prowadziły w Grudziądzu ochronkę dla około setki dzieci, a w Bydgoszczy były katechetkami. Wypełniały te zadania w porozumieniu z obcymi dla siebie władzami kościelnymi, zaś w bezpośredniej zależności tylko od swoich władz zakonnych. Niestety nie całkiem ściśle ustalone warunki współpracy - zwłaszcza brak dokładnego odróżnienia spraw Zgromadzenia Mariawitów od Kościoła Mariawitów i - jeszcze bardziej - dowolna praktyczna interpretacja tych warunków wywoła po paru zaledwie latach zerwanie tej współpracy.

Otóż podobnego typu współpraca pojawiła się znów ostatnio. Mianowicie biskup anglikański Pierre W. Whalon zlecił naszemu zgromadzeniu poprowadzenie zamkniętych rekolekcji dla swoich polskojęzycznych diecezjan. Bracia M.Izaak, M.Paweł

i M.Serafin poprowadzili je w dniach 31 sierpnia - 2 września w na dalekim przedmieściu Poznania, Kiekrzu. Osobisty delegat biskupa ksiądz Tony Lipinski, proboszcz z Wiesbaden odprawił niedzielną Mszę Świętą i przekazał biskupie pozdrowienia i ku naszemu pozytywnemu zaskoczeniu złożył życzenia trwałego powiązania duchowości mariawickiej z anglikańską pobożnością.

K.M.G.



ZAWARTOŚĆ ZESZYTU

- brat Izaak – **Chrystus w Eucharystii i w życiu** – s. 1
brat Paweł - **Czemu chrześcijanie jeszcze się nie zjednoczyli** - s. 6
Honorata Korpikiewicz - **Dwa aforyzmy** - s.16
Hanna Gołębiowska - **Owce i pasterz** - s.16
Ola Habdank-Wojewódzka – **Genesis** – s. 17
Stanisław Jałosiński, anonim, Szymon Bucholc, Cherubina Przysiecka -
- **Początki mariawityzmu niemieckiego** - s.19
Z PRZEDSTAWIONYCH NAM PROBLEMÓW:
Tomasz Kwast, brat Paweł - **Wiedza fizyczna i duchowa** - s. 9
PRZEŻYĆ LITURGIĘ:
brat Paweł - **Czego Bóg chce ode mnie** - s. 13
LISTY DO REDAKCJI:
były student - **Religijna erotyka** - s. 23
OMÓWIENIA, RECENZJE:
brat Paweł - **Znakomita książka jubileuszowa** - s. 25
były student - **sprostowanie (do recenzji z poprzedniego zeszytu)** - s. 30
CO NOWEGO W ZGROMADZENIU:
K.M.G. – **Rekolekcje dla anglikanów** - s, 30

PRACA nad sobą – aperiodyk mariawicki. Dostępny tylko w prenumeracie. oraz na stronie internetowej www.praca-nad-soba.waw.pl Ukazuje się nieregularnie w miarę napływu materiałów. Dla Zgromadzenia Mariawitów wydaje F.H.U. ELWIT w Krakowie. Redaguje kolegium. Redaktor wykonawczy tego zeszytu: Konrad M. Paweł Rudnicki. Adresy redakcji i administracji: ul. Św. Sebastiana 10 m. 14 – 31-049 Kraków; redakcja@praca-nad-soba.waw.pl oraz redaktorpracy@interia.pl . Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Krajowa prenumerata redakcyjna, obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty – 20 zł.

Należność należy przesyłać pod adresem redakcji *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (o nominale nie większym niż 1,55 zł) podając dokładny adres nadawcy, Można też prenumeratę opłacić osobiście w redakcji. Wysokość prenumeraty zagranicznej za 4 kolejne zeszyty pocztą zwykłą wynosi – 10 euro; pocztą priorytetową (lotniczą) w obrębie Europy – 12 euro, poza Europą – 25 dolarów USA, lub ich równowartość. Wpłaty z zagranicy należy przesyłać międzynarodowym przekazem pod adresem redakcji. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu czterech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i może potem ulec zmianie w miarę wzrostu cen papieru, druku, kursów walut lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już wcześniej prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Dla uniknięcia nieporozumień osoby zamawiające „Pracę nad sobą” po raz pierwszy, zechcą zaznaczyć od którego zeszytu mamy rozpocząć wysyłkę.
